

THOMAS  
KENEALLY

---

Lista  
Schindlera

---

Wyróżniona prestiżową Nagrodą Bookera  
powieść, na podstawie której  
Steven Spielberg nakręcił poruszający film  
uhonorowany 7 Oscarami.



# Prolog

## *Jesień 1943*

Była późna polska jesień. Z domu przy ulicy Straszewskiego, biegnącej skrajem krakowskiej starówki, wyszedł wysoki młody mężczyzna. Miał na sobie drogi płaszcz, narzucony na dwurzędową marynarkę z dużą, ozdobną swastyką w kłapie. Podeszedł do swojego szofera, który wypuszczając z ust obłoczki pary, czekał przy otwartych drzwiach wielkiej i nawet w zapadającym zmierzchu błyszczącej limuzyny marki Adler.

– Niech pan uważa na chodnik, Herr Schindler – powiedział szofer. – Śliski jak przygoda z wdową.

Dla obserwatora tej zimowej scenki niektóre sprawy od razu stają się jasne. Ten wysoki młody mężczyzna już do końca swoich dni będzie nosił dwurzędowe marynarki, będzie, jak po trosze inżynier, zachwycał się wspaniałymi samochodami, i zawsze będzie takim człowiekiem, któremu osobisty szofer może bezpiecznie rzucić koleżeński dowcip.

Jednak taka charakterystyka nie pokazuje całej prawdy. Jest to bowiem opowieść o człowieku, w którym zwyciężyło dobro, i to zwyciężyło w sposób wymierny, statystyczny, jednoznaczny. Jeśli zabrać się do rzeczy od drugiej strony – jeśli spisać dające się przewidzieć wymierne powodzenie, jakie

osiąga zło, wtedy łatwo jest popisać się mądrością, ironią, wnikliwością, łatwo uniknąć fałszywego patosu. Łatwo wykazać, jak nieuchronnie zło opanowuje wszystko, co można by nazwać kanwą opowieści, nawet jeśli dobru uda się na koniec zachować kilka imponderabiliów jak godność i samopoznanie. Mordercza ludzka złość jest osią narracji, grzech pierworodny paliwem historii. Lecz pisanie o cnocie to przedsięwzięcie ryzykowne.

„Cnota” jest jednak pojęciem tak niebezpiecznym, że musimy pospieszyć z pewnym wyjaśnieniem: Herr Oskar Schindler, idący w wyczyszczonych butach po oblodzonym chodniku starej, eleganckiej dzielnicy Krakowa, nie był człowiekiem cnotliwym w tradycyjnym sensie tego słowa. Mieszkanie, które zajmował, dzielił ze swoją niemiecką kochanką, a równocześnie miał romans z polską sekretarką. Jego żona Emilie wolała mieszkać na Morawach, co nie znaczy, że w ogóle męża nie odwiedzała. Dla wszystkich tych kobiet był Schindler wspaiałym i hojnym kochankiem. Jednak przy normalnej interpretacji „cnoty” nie jest to żadne usprawiedliwienie.

Nie stronił też od alkoholu. Czasem pił dla samej przyjemności picia, kiedy indziej pił z ludźmi, z którymi współpracował – z urzędnikami, esesmanami, a więc z powodu interesów. Pił jednak bardzo ostrożnie, to znaczy – nigdy się nie upijał; co też pewnie dla moralistów nie byłoby okolicznością łagodzącą. I choć zasługi Schindlera są dobrze udokumentowane, to jednak on sam nie był postacią jednoznaczną. Jakkolwiek by było, działał pośród – lub przynajmniej z ramienia – zdegenerowanego i barbarzyńskiego systemu, który zapełnił Europę obozami wszelkiego typu, ale konsekwentnie nieludzkimi, i stworzył odciętą od świata armię więźniów. Najlepiej więc będzie rozpocząć od jakiegoś przykładu charakteryzującego moralność Herr Schindlera oraz od miejsc i ludzi, z którymi dzięki tej moralności się związał.

Przy końcu ulicy Straszewskiego nad samochodem zamajaczyła ciemna bryła Wawelu, z którego pierwszy prawnik Partii Narodowosocjalistycznej, Hans Frank, rządził Generalną Gubernią. Jak z pałacu okrutnego olbrzyma nie dochodziło stamtąd żadne światło. Ani Schindler, ani jego szofer nie spojrzeli w górę ku stromym, murom obronnym, kiedy samochód skręcał na południowy wschód w stronę Wisły. Wartownicy na moście Kościuszki, pilnujący, aby w czasie godziny policyjnej nikt nie poruszał się między Krakowem a Podgórzem, byli przyzwyczajeni do widoku samochodu Adler, do twarzy Schindlera, do okazywanej przez szofera przepustki. Schindler często przejeżdżał przez ten punkt kontroli, kiedy jechał ze swojej fabryki (gdzie również miał mieszkanie) do miasta albo spod domu na Straszewskiego do fabryki na Zabłociu. Widzieli go też często po zmierzchu, gdy ubrany oficjalnie lub półoficjalnie przejeżdżał w jedną lub drugą stronę, czy to na jakąś kolację, czy na przyjęcie, czy do czyjejs alkozy lub, tak jak dziś, do odległego o dziesięć kilometrów obozu pracy przymusowej w Płaszowie na kolację u Hauptsturmführera SS, Amona Götha, wysoko postawionego lubieżnika. Schindler miał opinię człowieka, który z okazji świąt Bożego Narodzenia chętnie rozdaje alkohol, więc jadący przez most samochód przepuszczono na Podgórze bez większej zwłoki.

To pewne, że Herr Schindler, pomimo upodobania do dobrego jedzenia i picia, jechał na dzisiejszą kolację u komendanta Götha raczej z obrzydzeniem niż z podnieceniem. Pijatyki u Amona zawsze były zajęciem odrażającym. Niemniej jednak niesmak, jaki czuł Schindler, miał w sobie coś takiego, co na średniowiecznych malowidłach sprawiedliwi okazują wyklętym. Uczucie to dokuczało Oskarowi, ale go nie zniechęcało.

W obitym czarną skórą wnętrzu adlera, mknącego wzdłuż torów tramwajowych przez niedawne jeszcze żydowskie getto, Schindler jak zwykle palił papierosa za papierosem. Ale poza

tym był opanowany. A nawet wytworny. Jego zachowanie świadczyło o tym, że nie był to człowiek, który by się martwił, jak zdobyć następną paczkę papierosów i kolejną butelkę koniaku. Tylko on mógłby nam powiedzieć, czy musiał się pocieszać butelką, kiedy mijał cichą i ciemną wieś Prokocim i widział na linii kolejowej prowadzącej do Lwowa sznur nieruchomych wagonów bydłowych, w których mogło znajdować się wojsko, więźniowie lub nawet – choć tu prawdopodobieństwo było nikłe – bydło.

Dalej w polach adler skręcił w prawo, w ulicę, która jak na ironię nazywała się Jerozolimska. Tej nocy, pełnej wyrazistych, mroźnych konturów, Schindler dojrzał u stóp wzgórza najpierw zburzoną synagogę, a potem miejsce uchodzące wtedy za Jeruzalem – Obóz Pracy Przymusowej Płaszów, czyli miasto baraków, zaludnione dwudziestoma tysiącami niespokojnych Żydów, Polaków i Cyganów. Pilnujący bramy ukraińscy i niemieccy strażnicy uprzejmie pozdrowili Schindlera, znali go bowiem tak samo dobrze jak ich koledzy na moście Kościuszki.

Koło budynku administracji adler wjechał na obozową drogę, wybrukowaną żydowskimi kamieniami nagrobnymi. Jeszcze dwa lata temu miejsce to było żydowskim cmentarzem. Komendant Amon Göth, który uważał się za poetę, użył do budowy obozu takich metafor, jakie tylko mu przyszły do głowy. Owa metafora, z potrzaskanych kamieni nagrobnych, biegła przez środek obozu, dzieląc go na dwie części; jednak nie sięgała ona willi, którą zajmował poetycznie usposobiony komendant.

Na prawo, za barakiem strażników, stał budynek byłej żydowskiej kostnicy. Zdawała się ona oznajmiać, że tutaj każda śmierć jest naturalna, ze starości; że wszyscy zmarli otrzymują tutaj pośmiertny przyodziewek. Tymczasem budynek ten służył teraz jako stajnia dla koni komendanta. Mimo że Schindler był przyzwyczajony do jej widoku, nie jest wykluczone,

że za każdym razem reagował na niego ironicznym chrząknięciem. Reagując na każdą ironię nowej Europy, wchłaniało się ją, brało do serca. Ale Schindler miał nieograniczoną zdolność noszenia w sobie podobnego balastu.

Więzień Poldek Pfefferberg również zmierzał tego wieczoru do willi komendanta. Lisiek, dziewiętnastoletni służący komendanta, przyszedł do baraku Pfefferberga z przepustkami podpisanymi przez podoficera SS. Chłopiec miał kłopot, który polegał na tym, że na wannie komendanta uparcie pozostawała niedająca się usunąć smuga osadu i Lisiek bał się, że mu się za to oberwie, kiedy komendant przyjdzie wziąć poranną kąpiel. Pfefferberg, który był nauczycielem Liśka w gimnazjum na Podgórzu, pracował w obozowym warsztacie samochodowym i miał dostęp do rozpuszczalników. Tak więc w towarzystwie Liśka poszedł Pfefferberg do warsztatu, przyniósł długi, owinięty na końcu szmatą kij i puszkę z rozpuszczalnikiem. Wchodzenie do willi komendanta należało do wątpliwych przyjemności, ale wiązała się z tym nadzieja, że dostanie się trochę jedzenia od Heleny Hirsch, sponiewieranej żydowskiej służącej Götha, dobrej dziewczyny, która również była uczennicą Pfefferberga.

Kiedy adler Schindlera miał do willi Götha jeszcze około stu metrów, zaczęły szczekać psy – dog, wilczur i wszystkie inne, które komendant trzymał w psiarni za domem. Sama willa, kwadratowy budynek z dużym dachem, miała wzdłuż piętra balkon. Ściany opasywał taras z balustradą. Amon Göth lubił latem być na powietrzu. Odkąd tu przybył, przybrał na wadze. Następnego lata stanie się grubym czcicielem słońca, ale w tej akurat wersji Jeruzalem nie będzie narażony na śmieszność.

Przy drzwiach pełnił tego wieczoru służbę Unterscharführer w białych rękawiczkach. Salutując, sierżant wpuścił Herr Schindlera do domu. W korytarzu ukraiński służący Iwan

wziął od niego płaszcz i kapelusz. Schindler poklepał się po kieszeni na piersi, by się upewnić, czy ma prezent dla gospodarza: złożoną papierośnicę, kupioną na czarnym rynku. Amon miał tak wysokie uboczne dochody, szczególnie te w postaci skonfiskowanej biżuterii, że czułby się obrażony czymś, co nie było przynajmniej pozłacane, a i to był dla niego przyjemny co prawda, ale tylko drobiazg.

Przy podwójnych drzwiach prowadzących do jadalni grali bracia Rosnerowie – Henryk na skrzypcach, Leopold na akordeonie. Na rozkaz Hauptsturmführera Götha zdjęli nędzne odzienie, jakie w dzień nosili w obozowej malarni, gdzie pracowali, i włożyli wieczorowe garnitury, które przechowywali w baraku na takie okazje. Oskar Schindler zauważył, że choć komendant podziwiał grę Rosnerów, to oni nigdy nie grali w jego willi swobodnie. Zbyt dobrze znali Amona. Wiedzieli, że jest kapryśny i skłonny do natychmiastowych egzekucji. Grali uważnie, ale myśleli tylko o tym, czy ich muzyka nie ściągnie na nich nagłego gromu.

Przy stole Götha miało tego wieczoru zasiąść siedmiu mężczyzn. Oprócz Schindlera wśród gości znajdowali się: Julian Scherner, szef krakowskiej SS, i Obersturmbannführer Rolf Czurda, szef krakowskiego oddziału SD, służby bezpieczeństwa, formacji nieżyjącego już Reinharda Heydricha. Uchodzili za gości szczególnie ważnych, ponieważ obóz podlegał ich władzy. Byli około dziesięć lat starsi od Götha, a szef policji Scherner, w okularach, łysy i nieco otyły, wyglądał na człowieka w średnim wieku. Jednak biorąc pod uwagę rozwiązły tryb życia jego podwładnego, różnica wieku między nimi nie wydawała się tak duża.

Najstarszy w tym towarzystwie był Franz Bosch, weteran pierwszej wojny światowej, kierownik różnych obozowych warsztatów, legalnych i nielegalnych. Był on także „doradcą gospodarczym” Juliana Scherнера i prowadził interesy w mieście.

Oskar gardził Boschem i oboma szefami policji, Schernerem i Czurdą. Niemniej jednak współpraca z nimi była nieodzowna dla funkcjonowania fabryki na Zabłociu – dlatego regularnie przysyłał im prezenty. Jedyne gościami, z którymi łączyło Oskara uczucie sympatii, byli Julius Madritsch, właściciel fabryki mundurów w obozie płaszowskim, oraz kierownik w tejże fabryce, Raimund Titsch. Madritsch był o rok młodszy od Oskara i od Götha. Był to człowiek przedsiębiorczy, ale nie bezwzględny, i gdyby go poprosić o wyjaśnienia w sprawie dochodów obozowej fabryki, dowodziłby, że daje ona zatrudnienie czterem tysiącom ludzi, a więc tym samym chroni ich przed obozem śmierci. Raimund Titsch, człowiek po czterdziestce, niepozorny, zamknięty w sobie, z tych, co to wcześniej wychodzą z przyjęć, zarządzał fabryką Madritscha; korzystając ze swego stanowiska, przemycał do niej ciężarówkę z żywnością dla swoich więźniów, ryzykując w ten sposób pobyt w więzieniu na Montelupich, w areszcie SS lub w Oświęcimiu.

Takie więc grono gości zbierało się zwykle w willi komendanta Götha.

Cztery zaproszone kobiety, z elegancko uczesаныmi włosami, ubrane w drogie suknie, były młodsze od każdego z mężczyzn. Były to luksusowe dziwki, Niemki i Polki. Niektóre z nich bawiły tu już któryś raz z rzędu. Ich liczba stwarzała dwóm najstarszym rangą oficerom możliwość wyboru. Niemiecka kochanka Götha, Majola, kiedy Göth urządzał swoje uczyty, zostawała w mieszkaniu w Krakowie. Traktowała kolacje Götha jako męską rozrywkę, a więc taką, która obrażałaby jej kobiecą, subtelną naturę.

Nie ulega wątpliwości, że obaj szefowie policji i komendant Göth na swój sposób lubili Oskara. Poza tym uważali jednak, że jest w nim coś dziwnego. Przypisywali to jego pochodzeniu – Oskar był bowiem Niemcem sudeckim. To coś takiego jak Arkansas wobec Manhattanu albo Liverpool wobec



Cambridge. Domyślali się jego niecałkowitej prawomyślności, ale ostatecznie liczyło się to, że umożliwił zdobycie trudno dostępnych towarów, że miał mocną głowę i przytępione, a czasem rubaszne poczucie humoru. Wiedzieli, że Oskar jest takim człowiekiem, do którego wszyscy się uśmiechają, ale któremu nie należy okazywać zbyt dużego uwielbienia.

Esesmani, widząc podniecenie, jakie zapanowało wśród czterech zaproszonych kobiet, domyślili się, że przyszedł Schindler. Ci, którzy znali Oskara, mówili o jego wielkim uroku, działającym szczególnie na kobiety, u których miał nigdy nieśląbnące powodzenie. Dwaj szefowie policji, Czurda i Scherner, spojrzeli na niego z nadzieją – dzięki niemu mogli liczyć na większą przychylność zaproszonych kobiet. Tymczasem do Oskara podszedł Göth i podał mu rękę. Komendant był tego samego wzrostu co Schindler i sprawiał wrażenie człowieka bardzo otyłego. Wrażenie to zawdzięczał swojej atletycznej budowie i właśnie wysokiemu wzrostowi. Ale twarz – mimo iż Göth pił nieprzyswoite ilości miejscowej wódki – wyglądała już normalnie.

Natomiast o wiele gorzej wyglądał Bosch, gospodarczyk czarodziej SS i Płaszowa. Na przykład jego nos był całkowicie purpurowy; tlen, który należał się żyłom jego twarzy, od lat służył podsycaniu błękitnego płomienia spijanego przez Boscha alkoholu. Schindler, skinąwszy mu głową, pomyślał, że również dzisiaj Bosch na pewno złoży zamówienie na jakieś towary.

– Witamy naszego przemysłowca! – zawołał Göth, a następnie oficjalnie przedstawił Oskara znajdującym się w pokoju kobietom. Bracia Rosner cały czas grali; wzrok Henryka błędził pomiędzy strunami a najbardziej pustym zakątkiem pokoju, Leopold uśmiechał się zaś do klawiszy akordeonu. W powietrzu unosiły się dźwięki, które Strauss zapisał na pięciolinii ku ucieście lepszemu towarzystwa.

Po prezentacji Oskar odczuł w stosunku do przedstawionych mu kobiet coś w rodzaju litości. Wiedział, że później, kiedy zacznie się zabawa, na ich ciałach pojawią się pręgi i rany po esesmańskich klapsach i łaskotkach. Ale na razie Hauptsturmführer Amon Göth, po pijanemu szalony sadysta, był wzorowym wiedeńskim dżentelmenem.

Temat rozmowy nie był zbyt oryginalny. Mówiono o wojnie. Szef SD, Czurda, zapewniał wysoką Niemkę, że Krym trzyma się mocno, a szef SS, Scherner, poinformował inną kobietę, że jego koledze z czasów hamburskich, porządnemu gościowi, Oberscharführerowi SS, urwało nogi w częstochowskiej restauracji, gdzie partyzanci podłożyli bombę. Schindler rozmawiał z Madritschem i Titschem o sprawach zawodowych. Między tymi trzema przedsiębiorcami istniała prawdziwa przyjaźń. Schindler wiedział, że mały Titsch kupuje na czarnym rynku chleb dla więźniów fabryki Madritscha i że większość potrzebnych na ten cel pieniędzy daje Madritsch. To był najskromniejszy akt humanitaryzmu, zdaniem Schindlera bowiem dochody w Polsce były wystarczająco duże, by zadowolić najbardziej wymagającego kapitalistę i usprawiedliwić przeznaczenie pewnych sum na nielegalny zakup dodatkowego chleba. W przypadku samego Herr Schindlera kontrakty Inspektoratu Uzbrojenia – ciała zbierającego oferty i przyznającego umowy na produkcję wszystkich dóbr potrzebnych niemieckiej armii – były tak obfite, że Oskar przeszedł sam siebie, by osiągnąć sukces w oczach ojca. Niestety, Madritsch i Titsch oraz on sam byli jedynymi znanymi mu, którzy regularnie wydawali pieniądze na czarnorynkowy chleb.

Zanim Göth poprosił wszystkich do stołu, Bosch podszedł do Schindlera, ujął go pod ramię i poprowadził za drzwi, przy których grali Rosnerowie, jakby chciał, aby ich muzyka zagłuszyła rozmowę z Oskarem.

– Interes kwitnie, jak widzę – powiedział Bosch.

Schindler uśmiechnął się do niego.

– Pan to widzi, Herr Bosch?

– Widzę – powiedział Bosch. Zapewne przeczytał wcześniej biuletyn Głównej Komisji Uzbrojenia, w którym pisano o przyznanych fabryce Schindlera kontraktach.

– Pomyślałem sobie właśnie – zaczął Bosch, pochylając głowę – czy wobec takiej prosperity, wynikającej w końcu z naszego ogólnego powodzenia na licznych frontach, nie miałyby pan ochoty na pewien gest. Nic wielkiego. Po prostu gest.

– Oczywiście – odparł Schindler. Poczł młodości, ale też i radość. Urząd szefa policji Scherнера już dwukrotnie użył swych wpływów, by wydobyć Oskara z aresztu. Będą więc mieli okazję uczynić to po raz trzeci – spłacając w ten sposób zaciągany w tej chwili dług.

– Bomba spadła na dom mojej ciotki w Bremie. Biedna, poczciwa staruszka – powiedział Bosch. – Wszystko zniszczone! Łoże małżeńskie, kredensy, porcelana, sztucce... Pomyślałem sobie, czy nie mógłby pan jej wspomóc kilkoma garnkami z tych, które produkuje się w DEF-ie?

Deutsche Emailwarenfabrik, Niemiecka Fabryka Naczyn Emaliowanych – tak nazywała się firma Oskara Schindlera. Niemcy nazywali ją DEF, natomiast Polacy i Żydzi mówili o niej: Emalia.

– To się chyba da załatwić – powiedział Herr Schindler. – Czy mam wysłać towar bezpośrednio do niej, czy przez pana? Bosch nawet się nie uśmiechnął.

– Przeze mnie, Oskarze, chciałbym dołączyć do tego list.

– Oczywiście.

– A więc załatwione. Wszystkiego, powiedzmy, po sześć tuzinów: talerzy głębokich i płytkich, filiżanek do kawy itd. I pół tuzina waz na zupę.

Schindler roześmiał się, ale śmiech ten miał w sobie coś ze znużenia. Kiedy jednak przemówił, jego głos brzmiał uprzej-

mie. I taki właśnie był Oskar: nikomu nie potrafił odmówić. Tyle że Boschowi tak często bombardowano krewnych...

– Czy pańska ciotka prowadzi sierociniec? – zapytał półgłosem.

Bosch spojrział Oskarowi prosto w oczy. Ten pijak nie starał się działać dyskretnie.

– To stara kobieta bez środków do życia. Jeśli czegoś nie będzie potrzebowała, może sprzedać.

– Powiem sekretarce, by dopilnowała sprawy.

– Tej Polce? – spytał Bosch. – Tej ślicznotce?

– Tej ślicznotce – przytaknął Schindler.

Bosch usiłował gwizdnąć, ale nie potrafił odpowiednio ściągnąć ust, oczywiście z powodu brandy, którą się dziś poił, wydał więc z siebie tylko słabe prychnięcie.

– Pańska żona – powiedział jak mężczyzna mężczyźnie – musi być święta.

– Jest święta – przyznał Schindler z pewnym niepokojem. Nie żałował Boschowi naczyń kuchennych, ale też nie życzył sobie, by ten mówił o jego żonie.

– Niech mi pan powie – ciągnął Bosch – jak pan to robi, że ona nie siedzi panu na karku? Przecież ona musi wiedzieć... a tymczasem pan chyba bardzo dobrze sobie z nią radzi.

Uśmiech zniknął teraz z twarzy Schindlera. Każdy mógłby w niej dojrzeć po prostu niesmak. Ale ciche mruknięcie, jakie z siebie wydał, nie różniło się wiele od jego normalnego głosu.

– Nigdy nie rozmawiam o takich intymnych sprawach – powiedział.

– Proszę mi wybaczyć – wtrącił Bosch pospiesznie – nie chciałem...

Oskar Schindler nie lubił tego pijanicy i nie miał zamiaru wyjaśniać mu, że tu wcale nie chodzi o radzenie sobie z kimś, tylko o to, że wbrew dobrym radom związały się ze sobą dwa

różne temperamenty: ascetyczny temperament Emilie Schindler i hedonistyczny Oskara Schindlera. A także o to, że jego, Oskara, sytuacja małżeńska była w jakiś sposób powtórzeniem sytuacji, jaka istniała między jego rodzicami, którzy w końcu rozeszli się w 1935 roku.

Tymczasem Bosch nadal wyrzucał z siebie przeprosiny. Ten spekulant z czerwoną twarzą, zaplątany we wszystkie krakowskie szwindle, pocił się teraz ze strachu przed utratą sześciu tuzinów kompletów kuchennych.

Gości poproszono do stołu. Służąca wniosła i podała zupę cebulową. Gdy goście jedli kolację, bracia Rosnerowie zbliżyli się do biesiadników, ale nie na tyle blisko, by przeszkadzać obsługującym ich służącym: Helenie oraz Ukraincom Iwanowi i Petrowi. Schindler, siedzący pomiędzy wysoką kobietą, którą przydzielił sobie Scherner, a drobnokościstą Polką o słodkiej twarzy, znającą niemiecki, zauważył, że obie kobiety śledzą wzrokiem służącą. Miała ona na sobie tradycyjny ubiór służby: czarną sukienkę i biały fartuszek. Nie miała ani gwiazdy Dawida na ramieniu, ani żółtego pasa na plecach, chociaż była Żydówką. Tym, co zwróciło uwagę pozostałych kobiet, była posiniaczona twarz. A wydawało się, że Göth miał na tyle przyzwyczajenia, żeby nie pokazywać gościom z Krakowa służącej w takim stanie. Obie kobiety i Schindler oprócz obrażeń twarzy spostrzegli także czerwony ślad, nie całkiem zasłonięty kołnierzykiem, w miejscu gdzie cienka szyja łączyła się z ramieniem.

Amon Göth nie tylko nie przemilczał stanu dziewczyny, ale obrócił w jej stronę krzesło, przywołał ją ręką i pokazał zebranemu towarzystwu. Schindler nie był w tym domu przez sześć ostatnich tygodni, ale wiedział, że stosunki między Göthem a dziewczyną nabrały takiego właśnie szczególnego charakteru. Wśród przyjaciół Göth używał jej jako przedmiotu konwersacji. Ukrywał ją dopiero wtedy, gdy zjeżdżali do niego wyżsi oficerowie spoza Krakowa.

– Panie i panowie – zawołał, imitując ton kabaretowego konferansjera – przedstawiam Lenę! Po pięciu miesiącach rądzi sobie całkiem dobrze w kwestiach kuchni i manier.

– Sądząc po jej twarzy – zauważyła wysoka towarzyszka Schernera – miała zderzenie z kredensem.

– I może się to suce przytrafić jeszcze raz. – Göth zarechotał wesoło. – Prawda, Leno?

– Krótko trzyma kobiety – stwierdził z zadowoleniem szef SS, puszczając oko do swej wysokiej sąsiadki. Scherner nie miał może złych intencji, ponieważ nie mówił o Żydówkach, tylko o kobietach w ogóle. Natomiast Göth, jak tylko przypominał sobie, że Lena jest Żydówką, zaczynał ją bić – albo jeszcze przy gościach, albo później, po ich wyjściu. Scherner, jako przełożony Götha, mógł zabronić komendantowi bicia dziewczyny; nie robił tego, bo było to w złym stylu, mogłoby popsuć przyjacielską atmosferę przyjęć w willi Götha. Scherner nie przychodził tu jako przełożony, ale jako przyjaciel, towarzysz, biesiadnik, smakosz kobiet. Amon miał swoje wady, ale nikt nie potrafił rozkręcić przyjęcia tak jak on.

Przyszła kolej na śledzia w majonezie, a potem na golonkę, pysznie przyrządzoną przez Lenę. Do mięsa pili ciężkie węgierskie czerwone wino; bracia Rosnerowie przestawili się na ognistą węgierską muzykę, wszyscy oficerowie zdjęli bluzy mundurowe i atmosfera w jadalni zrobiła się swobodniejsza. Zaczęto plotkować o kontraktach wojennych Madritscha, producenta mundurów, pytano o jego zakład w Tarnowie, o to, czy ma takie samo szczęście do kontraktów Inspektoratu Uzbrojenia jak fabryka w Płaszowie... Tymczasem sam Madritsch zaczął rozmawiać ze swoim chudym, ascetycznym kierownikiem Titschem, a Göth siedział zamyślony jak człowiek, który w środku przyjęcia przypomina sobie jakąś drobną sprawę, wcześniej niezafatwioną i teraz wzywającą go z ciemności gabinetu.

Kobiety wyglądały na znudzone. Drobna Polka o błyszczących wargach, może dwudziesto-, ale raczej osiemnastoletnia, położyła dłoń na ręce Schindlera.

– Pan nie jest żołnierzem? – zapytała cicho. – W mundurze wyglądałby pan bardzo szykownie.

Wszyscy zachichotali, Madritsch również. Schindler w 1940 roku przez krótki czas nosił mundur, dopóki go nie zwolniono z uwagi na jego talenty kierownicze, tak niezbędne dla wysiłku wojennego. Zresztą był człowiekiem tak bardzo wpływowym, że Wehrmacht nigdy mu nie zagroził. Madritsch zaśmiał się porozumiewawczo.

– Słyszeliście? – zapytał siedzący przy stole Oberführer. – Nasza panienska już widzi naszego przemysłowca jako żołnierza. Szeregowy Schindler, co? Jedzący gdzieś w Charkowie z menażki własnej produkcji, z kocem na ramionach.

W zestawieniu z elegancją Schindlera był to obraz tak dziwny, że sam Schindler się roześmiał.

– Coś takiego spotkało... – zaczął Bosch, próbując strzelić palcami – no, jak się nazywa ten w Warszawie?

– Toebbens – podpowiedział Göth, który nagle się ożywił. – Coś takiego spotkało Toebbensa. Albo prawie spotkało.

– Tak, tak, niewiele brakowało – odezwał się szef SD, Czurda.

Toebbens był przemysłowcem w Warszawie. Większym niż Schindler, większym niż Madritsch. Gruba ryba.

– Heini – powiedział Czurda (Heini, czyli Himmler) – przyjechał do Warszawy i powiedział do przedstawiciela Inspektoratu: „Wywalić tych kurewskich Żydów z fabryki Toebbensa, a jego samego wziąć do wojska i wysłać na front. Na front! A księgi sprawdzić pod mikroskopem!”. Ale Toebbens był pupilem Inspektoratu Uzbrojenia, bo w zamian za przydzielane mu wojenne kontrakty hojnie obdarowywał urzędników. Nic więc dziwnego, że protesty tego urzędu zdołały go wyratować.

Powiedziawszy to, Czurda pochylił się nad talerzem i puścił do Schindlera oko.

– W Krakowie do tego nigdy nie dojdzie, Oskar – powiedział. – Zbyt pana wszyscy kochamy.

Chcąc potwierdzić słowa Czurdy, Amon Göth wstał, co prawda z pewnym wysiłkiem, i zanucił przewodni motyw z *Madame Butterfly*, do którego bracia Rosnerowie przykładali się rzetelniej niż robotnicy zagrożonej fabryki w którymkolwiek getcie.

W tym czasie Pfefferberg i służący Lisiek byli na górze, w łazience Götha, i szorowali grubą linię osadu na wannie szmatą nasączoną rozpuszczalnikiem. Słyszeli muzykę Rosnerów, rozmowy i wybuchy śmiechu.

Na dole nadeszła pora na kawę. Posiniaczona Lena zaniosiła gościom tacę i niezaczepiona wycofała się do kuchni.

Madritsch i Titsch szybko wypili kawę i zaczęli się zbierać do wyjścia. Również Schindler odsunął krzesło i chciał wstać od stołu. Mała Polka położyła dłoń na jego ręce, ale dla Schindlera dom Götha nie był właściwym miejscem do zabawy z kobietami. W Göthhaus wszystko było wolno, ale on sam za dużo wiedział o zachowaniu się SS w Polsce i świadomość ta stawiała w odrażającym świetle każde wypowiedziane tu słowo, każdy wypity kieliszek, a cóż dopiero propozycję seksualną. Nawet gdyby Schindler poszedł z tą dziewczyną na górę, nie mógłby zapomnieć, że Bosch, Scherner i Göth są współtowarzyszami w jego rozkoszy, że – na schodach czy w łazience – robią dokładnie to samo co on. Schindler wolałby zostać księdzem niż przespać się z kobietą w domu Götha.

Przez ramię dziewczyny rozmawiał z Schernerem, mówili o wiadomościach z frontu, o polskich bandytach, o tym, że nadchodząca zima może być bardzo surowa. W ten sposób



dawał dziewczynie do zrozumienia, że Scherner jest jego przyjacielem i że on, Schindler, nie może odbierać jej przyjacielowi. Ale żegnając się, pocałował ją w rękę. Widział, jak Göth, bez marynarki, idzie przez drzwi jadalni w kierunku schodów, podtrzymywany przez dziewczynę, która siedziała przy stole obok niego. Oskar przeprosił pozostałych i dogonił komendanta. Wyciągnął rękę i położył dłoń na ramieniu Götha. Oczy komendanta usilnie próbowały się zogniskować na gościu.

– O – wybełkotał Göth – idziesz już, Oskar?

– Muszę być w domu – wytłumaczył się Schindler. W domu czekała Ingrid, jego niemiecka kochanka.

– Cholerny z ciebie ogier – powiedział Göth.

– Ale nie tak dobry jak ty – odparł Schindler.

– Rzeczywiście, masz rację. Ja to już jestem olimpijczykiem. Idziemy... dokąd idziemy? – Zwrócił głowę w kierunku dziewczyny, ale sam sobie odpowiedział na pytanie: – Idziemy do kuchni zobaczyć, czy Lena dobrze sprząta.

– Nie – zaprzeczyła dziewczyna ze śmiechem. – Tam nie idziemy.

Pokierowała nim w stronę schodów. To był przyzwoity gest z jej strony, przejaw kobiecej solidarności z chudą, poturbowaną służącą.

Oskar Schindler patrzył, jak zwalisty oficer i szczupła, podtrzymująca go dziewczyna walczą ze schodami. Göth wyglądał tak, jakby miał spać przynajmniej do południa następnego dnia, ale Oskar na tyle znał jego zdrowie i odporność, że wiedział, iż tak nie będzie. Amon mógł wstać już o trzeciej rano i zasiąść do pisania listu do mieszkającego w Wiedniu ojca. A o siódmej, zaledwie po godzinie snu, mógł już być na balkonie z karabinem w ręce, gotowy zastrzelić każdego opieśzalego więźnia.

Kiedy kobieta i Göth dotarli do półpiętra, Schindler powoli skierował się przez hall na tył domu.

Pfefferberg i Lisiek nie spodziewali się, że Göth wróci tak szybko. Zobaczyli go, kiedy był już w sypialni i mruzczał coś do dziewczyny, którą przyprowadził. Pfefferberg i Lisiek cicho pozbierali swoje narzędzia, prześliznęli się przez sypialnię i próbowali uciec bocznymi drzwiami. Göth, widząc ich ucieczkę, pobladł, ponieważ wydało mu się, że ci dwaj mogą być zamachowcami. Kiedy jednak Lisiek postąpił naprzód i drżąc, zaczął składać meldunek, komendant zrozumiał, że to tylko więźniowie.

– Herr Kommandant – zaczął Lisiek, ciężko dysząc ze strachu – melduję, że na pańskiej wannie znajdował się osad...

– Aha – rzekł Amon. – I wezwałeś eksperta?

Przywołał chłopca skinieniem ręki.

– Podejdz tu, kochany – powiedział.

Lisiek zrobił krok do przodu i wtedy spadł na niego cios tak mocny, że Lisiek runął i z rozpędu wjechał pod łóżko. Amon ponowił zaproszenie – widocznie chciał zabawić towarzyszącą mu dziewczynę obrazkiem czulej rozmowy z więźniem. Lisiek podniósł się i podreptał w stronę komendanta, po to by znów upaść od ciężkiego ciosu. Gdy Lisiek zbierał się z podłogi po raz pierwszy, Pfefferberg, doświadczony więzień, przygotowywał się już na najgorsze – był przekonany, że obaj pomaszerują zaraz do ogrodu, gdzie Iwan ich zastrzeli. Tymczasem komendant rozwścieczonym głosem kazał im jedynie wyjść, co też niezwłocznie uczynili.

Gdy kilka dni później Pfefferberg usłyszał, że Göth zastrzelił Liśka, sądził, że stało się to w wyniku incydentu z łazienką. Powód był jednakże zupełnie inny: Lisiek zaprzągnął konia do bryczki Boscha, nie zapytawszy wcześniej komendanta o pozwolenie.

Służąca Helena Hirsch (Göth przez lenistwo nazywał ją Leną) podniosła oczy i ujrzała w drzwiach kuchni jednego

z gości. Odłożyła miskę z resztkami mięsa, którą trzymała w rękach, i w mgnieniu oka stanęła na baczność.

– Herr... – Popatrzyła na jego marynarkę, szukając właściwego tytułu. – Herr Direktor, właśnie odkładam odpadki dla psów Herr Kommandanta.

– Ależ Fräulein Hirsch – powiedział Schindler – proszę się nie meldować.

Obszedł stół. Mimo że nie wyglądało na to, aby Schindler chciał się do niej dobierać, Helena jednak przestraszyła się. Co prawda Amon bił ją z przyjemnością, ale jej żydowskie pochodzenie zawsze chroniło ją przed otwartą seksualną napaścią. Niestety nie wszyscy Niemcy byli tak wybredni w sprawach rasowych jak Amon.

Jednak głos tego, który się do niej zbliżał, brzmiał zwyczajnie, jak podczas towarzyskiej rozmowy. Nie była przyzwyczajona do takiego tonu, nawet z ust oficerów i podoficerów SS, którzy przychodzili do kuchni narzekać na Amona.

– Pani mnie nie zna? – zapytał jak gwiazdor filmowy, którego nie od razu rozpoznano. – Nazywam się Schindler.

Skłoniła głowę.

– Herr Direktor – powiedziała. – Oczywiście, że słyszałam. Był pan tu już, pamiętam.

Objął ją ramieniem. Wyraźnie odczuł skurcz jej ciała, gdy wargami dotknął jej policzka.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – szepnął. – Całuję panią, bo mi pani żal.

Nie mogła opanować łez. Herr Direktor Schindler cmoknął ją w czoło, mocno i głośno, tak jak to robią przy pożegnaniach na dworcach Polacy. Zauważyła, że i on zaczął płakać.

– Ten pocałunek przynoszę pani od... – Zamachał ręką, co miało oznaczać, że ma na myśli ludzi śpiących na piętrowych łózkach albo kryjących się w lasach, ludzi, dla których przez

przyjmowanie na siebie ciosów Hauptsturmführera Götha była czymś w rodzaju buforu.

Schindler puścił ją i sięgnął do bocznej kieszeni marynarki, skąd wyjął duży baton. W swej istocie także i ten smakołyk sprawiał wrażenie przedwojennego.

– Proszę to gdzieś schować – poradził.

– Dostaję tu dużo jedzenia – odrzekła, jakby zapewnienie go, że nie głoduje, było sprawą honoru. Żywność była rzeczywiście najmniejszym z jej zmartwień. Wiedziała, że nie opuści domu Amona żywa, ale wiedziała też, że nie umrze z powodu braku pożywienia.

– Jeśli nie chce pani tego zjeść, niech pani prehandluje – zaproponował Schindler. – A może by pani trochę o siebie za dbała?

Cofnął się nieco i przyjrzał się jej uważnie.

– Izaak Stern mówił mi o pani – powiedział.

– Herr Schindler – wyszeptła dziewczyna. Spuściła głowę i przez parę sekund cicho płakała. – Herr Schindler, on lubi mnie bić przy tych kobietach. Pierwszego dnia, gdy tu przyszłam, zbił mnie, bo wyrzuciłam kości z obiadu. O północy zszedł do piwnicy i zapytał mnie, gdzie one są. Rozumie pan, miały być dla jego psów. To było pierwsze bicie... Spytałam wtedy... nie wiem dlaczego, teraz już nigdy tego nie zrobię: „Za co mnie pan bije?”. Odpowiedział: „W tej chwili biję cię za to, że zapytałaś, za co cię biję”.

Pokiwała głową i wzruszyła ramionami, jakby wyrzucając sobie, że jest zbyt gadatliwa. Nie chciała już więcej mówić, nie chciała opowiadać historii swoich kar, wielokrotnego doznanania na sobie pięści Hauptsturmführera.

Schindler pochylił się ku niej i powiedział:

– Pani żyje w strasznych warunkach, Heleno.

– To nieważne – odpowiedziała – pogodziłam się z tym.

– Pogodziła się pani?

– I tak któregoś dnia mnie zastrzeli.

Schindler zaprzeczył ruchem głowy, ale dla niej nie była to żadna pociecha. Nagle eleganckie ubranie i wypielegnowane ciało Schindlera podziałało na nią prowokująco.

– Na miłość boską, Herr Schindler, przecież widzę, co się dzieje. W poniedziałek byliśmy na dachu, ja i Lisiek, i skuwaliśmy lód. Zobaczyliśmy, jak Herr Kommandant wychodzi frontowymi drzwiami i schodzi po schodach koło balkonu, tuż pod nami. I tam, na tych schodach, wyciągnął pistolet i zastrzelił kobietę, która właśnie przechodziła. Kobietę niosącą tobolek. Strzelił prosto w kark. Po prostu zabił kobietę idącą dokądś. Nie wyglądała na grubszą ani chudszą, szybszą ani wolniejszą niż wszystkie inne. Im częściej się widzi Herr Kommandanta w akcji, tym lepiej się rozumie, że nie ma reguł, których należy się trzymać. Nie można sobie powiedzieć: jeśli będę przestrzegała reguł, będę bezpieczna...

Schindler ujął jej dłoń i ścisnął, chcąc jakby podkreślić to, co jej mówił.

– Niech pani posłucha, moja droga Fräulein Hirsch, mimo wszystko to lepsze niż Majdanek czy Oświęcim. Jeśli uda się pani zachować zdrowie...

– Myślałam, że łatwo będzie zachować zdrowie w kuchni komendanta. Kiedy mnie tu przeniesiono z kuchni obozowej, inne dziewczyny mi zazdrościły.

Na twarzy Heleny pojawił się smutny uśmiech.

Teraz Schindler podniósł głos. Zachowywał się jak człowiek, który ogłasza nowe prawo fizyki.

– Nie zabije pani, Heleno, bo pani za bardzo go cieszy. Cieszy go pani do tego stopnia, że nawet nie pozwala pani nosić gwiazdy. Nie chce, by ktoś wiedział, że to Żydówka tak go cieszy. Na schodach zastrzelił kobietę, ponieważ ona dla niego

nic nie znaczyła: była jedną z wielu, ani go grzała, ani ziębiła. Rozumie pani. Ale pani... to nieprzyzwoite, Heleno. Ale takie jest życie.

Ktoś inny też tak do niej mówił. Untersturmführer Leo John, podporucznik, zastępca komendanta. John powiedział: „On cię zabije dopiero na końcu, Lena. Ma z tobą za dużo frajdy”. Ale w ustach Johna nie brzmiało to tak przekonywająco. Dopiero Schindler skazał ją na bolesną wegetację.

Wydawało mu się, że rozumie jej oszołomienie. Wyszeptał słowa pocieszenia. Mówił, że ją jeszcze odwiedzi, że spróbuje ją wydostać.

– Wydostać? – zdziwiła się.

– Do mojej fabryki – wyjaśnił. – Słyszała pani przecież o mojej fabryce. Mam fabrykę naczyń emaliowanych.

– A, tak – odezwała się jak dziecko slumsów mówiące o Riwierze. – Schindlerowa Emalia, słyszałam.

– Niech pani dba o siebie – powtórzył, jakby wiedział, że zdrowie Heleny będzie miało w przyszłości duże znaczenie. Jakby mówiąc to, kierował się znajomością przyszłych intencji Himmlera i Franka.

– Dobrze – zgodziła się.

Odwróciła się, podeszła do kredensu i odsunęła go od ściany, dając tym pokaz zdumiewającej jak na taką wątłą dziewczynę siły. Ze ściany, uprzednio zasłoniętej meblem, wyjęła cegłę, a potem zwitek pieniędzy – okupacyjnych złotych.

– Mam siostrę w kuchni obozowej – powiedziała. – Jest młodsza ode mnie. Chciałabym, aby użył pan tych pieniędzy na jej wykup, jeśli trafi do transportu. Pan chyba wcześniej dowiaduje się o takich rzeczach.

– Zartoszczę się o to – zapewnił ją Schindler swobodnym, niemającym nic z uroczystej obietnicy tonem. – Ile tu jest?

– Cztery tysiące złotych.

Niedbale wziął od niej uciulany majątek i wsadził do bocznej kieszeni. Przy nim był bezpieczniejszy niż w niszy za kredensem Amona Götha.

Jak widać, historia Oskara Schindlera zaczyna się niezbyt sympatycznie – wśród barbarzyńskich najeźdźców, esesmańskich hedonistów, w obecności wątlej, sponiewieranej dziewczyny i z pewnym tworem wyobraźni, który jakimś sposobem stał się równie popularny jak dziwka o złotym sercu: dobrym Niemcem.

Z jednej bowiem strony Oskar dołożył wszelkich starań, by dokładnie poznać oblicze systemu, oblicze szaleńca ukryte za woalką biurokratycznej przyzwoitości. Dowiedział się na przykład wcześniej, niż inni ośmielili się dowiedzieć, co to jest *Sonderbehandlung*: że to „specjalne traktowanie” oznacza piramidy zagazowanych ciał w Bełżcu, Sobiborze, Treblince i Oświęcimiu-Brzezince, zwanym na Zachodzie Auschwitz-Birkenau.

Z drugiej strony Schindler jest przedsiębiorcą, handlowcem i otwarcie nie ma odwagi płuć systemowi w twarz. Mimo to już udało mu się zmniejszyć owe piramidy, co oczywiście nie mogło wpłynąć na fakt, że swoją wysokością przerosły one wkrótce Matterhorn. Choć nie może przewidzieć, jakie biurokratyczne zmiany zajdą w przyszłości, to jednak nadal zakłada, że zawsze będzie zapotrzebowanie na żydowską siłę roboczą. Dlatego w czasie swej dobroczynnej wizyty u Heleny Hirsch radzi jej: „Niech pani dba o zdrowie”. Podobnie w ponurym Arbeitslager Płaszów niemogący zasnąć Żydzi, odwracając się na drugi bok, pocieszają się, że żaden borykający się z trudnościami reżim nie może sobie pozwolić na zrezygnowanie z obfitych zasobów darmowej siły roboczej. Transportami do Oświęcimia pojadą ci, którzy się załamią, zaczną płuć krwią,

zapadną na dyzenterię. Schindler słyszał, jak więźniowie na placu apelowym Płaszowa mówili sami do siebie: „Dobrze, że chociaż jestem jeszcze zdrowy” takim tonem, jakiego w normalnym życiu używają tylko starcy.

Tak więc tej zimowej nocy Oskar Schindler jest już człowiekiem mocno zaangażowanym w ratowanie niektórych ludzi. Zabrnął daleko: złamał prawa Reichu w stopniu zasługującym już nie na jedną, ale na wiele śmierci przez powieszenie, przez ścięcie, przez uwięzienie w zimnych barakach Oświęcimia lub Gross-Rosen. Ale nie wie jeszcze, ile to naprawdę będzie kosztowało. Choć wydał już majątek, nie wie, jakie wydatki jeszcze go czekają.

Aby zaraz na początku nie wzbudzać niczyjej nieufności, opowieść ta zaczyna się od zwyczajnego gestu dobroci – pocałunku, łagodnego głosu, czekoladowego batona. Helena Hirsch już nie zobaczy swoich czterech tysięcy złotych – w każdym razie nie w formie pozwalającej na wzięcie ich do ręki i policzenie. Zresztą do dziś uważa ona za sprawę małej wagi to, że Oskar tak niedbale obchodził się z pieniędzmi.